

THOMAS RAAB



CISZA

Kronika życia pewnego mordercy



# 1 POCZĄTEK

Dzień, w którym zmarł Karl, był szczęśliwym dniem.

Z ceglanego komina za wzgórzem wznosił się biały dym i snuł się na bezchmurnym niebie niczym welon panny młodej. A dookoła zieleń łąk i lasów. Soczysta. Bujna. Rozprzestrzeniająca się. W dali łagodne wzniesienie Góry Kalwaryjskiej, a za nią kopiące kominy hut. I ta cisza. Tylko śpiew ptaków, bzyczenie owadów i szmer instalacji elektrycznej. Szelest liści drzew i wiatru. Spokojne miejsce – przez ulotną chwilę.

Bo w którymś momencie pojawia się pierwszy drogowskaz: pokazuje kierunek i ma wypisaną nazwę – Jettenbrunn. Może i świeci słońce, może jest jasno i ciepło, ale od teraz każdy kamień, każde źdźbło trawy będzie zasnutę cieniem rzucanym przez chmurę pełną wspomnień i mroku, brzemiennej niepokojem. Kiedyś bowiem wśród tego spokoju przyszło na świat dziecko – Karl Heidemann.

A to jego historia.

Był szósty grudnia 1982 roku, kiedy ciszę niewielkiej wioski przeciął krzyk. Ostry, przeciągły, jakby dla pewności, że wszę-

dzie dotrze, że będzie słyszalny. Wdarł się do ogrzanych pomieszczeń, przynosząc ludziom radość. Niczym niezmaconą radość. Nowe życie daje nadzieję. Za mało zostało chłopców, zbyt wielu starych ludzi umarło, tyle domów stało pustych.

W tę drugą niedzielę adwentu domy pustoszały jednak nie w wyniku ucieczki ze wsi, lecz z powodu wdzięczności. Trzeba było iść z pielgrzymką do miejsca narodzin, jakby na świat przyszedł sam odkupiciel. A tam, w domu Heidemannów, w ramionach przepętnionej szczęściem matki, leżącej na wciąż jeszcze mokrej pościeli, spoczywał krzyczący o swoje młode życie Karl.

Dla ochrony przed zimnem i śniegiem ciepło opatuleni ludzie nadchodzili ze wszystkich stron, z koszami pełnymi ciasta i wina, z drobnymi podarunkami – wyszydełkowaną czapeczką, zrobionym na drutach kolorowym sweterkiem – by powitać nowe życie.

Tłoczyli się wokół matki, dłonie rozgrzewali płonącym w piecu ogniem, a ciała samogonem, hojnie rozlewany na powitanie, i przyglądając się paskudnie wrzeszczącemu na całe gardło dziecku, od razu wiedzieli: chłopcu trzeba dać pierś, chce herbatki z kopru, przydałby mu się smoczek, kciuk albo róg poduszki do ssania, chłopiec potrzebuje świeżego powietrza, no i nie można zapomnieć o tym, że najpierw musi przetrwać podróż, którą właśnie odbył, a która nazywa się „poród”: niepokój, ciasnotę, przemoc, ból, a potem to krzyczące światło, dzwoniące zimno, śmiertelny strach, rozdzielenie, lęk przed uduszeniem. Mało komu po takich przejściach byłoby do śmiechu; z pewnością nie ma powodu do niepokoju.

A Karl wciąż krzyczał.

Charlotte Heidemann słuchała, co mówią, ale niewiele z tego rozumiała; tylko troskliwie tuliła wciąż skurczone ciało ze swojego ciała.

Wrzask, jaki potrafiła wydawać z siebie ta mała istota już

w pierwszych godzinach swojego życia, był ogłuszający. Ogłuszający i w pewien sposób mądry. Wszystkim mieszkańcom Jettenbrunn w końcu zaświtało, że czas opuścić błogie ciepło izby i młodą matkę.

Kiedy wracali do swoich domów, mroźny wiatr głąskał pokryte puszystym śniegiem pola, a obłoczki wypełnionych plotkami oddechów posyłał to tu, to tam.

Chociaż liczniki prądu, jak zawsze z nastaniem mroku o tej porze roku, wariowały, bo domy zdobiły zapalone lampki, ja-koś nikt nie czuł adwentowego pokoju.

Świętemu Mikołajowi, który tego szóstego grudnia zawitał w Jettenbrunn, towarzyszył wrzask, przesywający do szpiku kości, rozchodzący się po lasach, ba!, sięgający samego szczytu Góry Kalwaryjskiej.

Karl krzyczał i krzyczał. I krzyczał. Nic nie mogło go pocieszyć – ani matczyne przytulanie, ani żarliwy śpiew, ani pierś. Jedynym, co wyrażał, była pogarda. Podczas gdy Charlotte Heidemann czule do niego mówiła albo, cicho nucąc, głąskała go po główce, wzbraniał się przed piciem matczynego mleka, przed jej bliskością, przed jej dotykiem. Nieprzerwanie krzyczał i wierzgał nóżkami, dopóki mógł, dopóki, długo po północy, mokry od potu i skrępowany tetrową pieluchą, wyczerpany zapadł w swój pierwszy sen po przecięciu pępowiny.

Johann Heidemann ostrożnie włożył zmęczone dziecko do kołyski i spokojnie ją bujał.

Spokojnie i cicho.

Cisza zbawienna dla wszystkich, dla całego Jettenbrunn, dla rodziców Karla i dla niego. Tylko tykanie zegara, lekkie szuranie o deski podłogowe poruszającej się kołyski, głęboki oddech ojca.

Sen, który nie trwał długo.

## 2 POCHODZENIE

Johann Heidemann, ojciec Karla, był silnym mężczyzną, niewysokim wprawdzie, ale solidnym jak pień. Nie sztuka obalić drzewo, ale korzenie wczepiają się uparcie w swoje ziemskie królestwo i pień pozostaje – jako coś, na czym można usiąść, jako podstawa nowego życia, jako kamień pamięci. Ciemne strony życia Johann Heidemann znał od dziecka. Miał sześć lat, kiedy któregoś wieczoru w domu, zamiast rodziców, pojawił się policjant. Nie miał wiele do powiedzenia poza tym, co zwykle w tych stronach.

Lekko górzysta okolica.

Łagodne łuki wijące się przez nią drogi krajowej.

Na niej ciężarówka jadąca znacznie powyżej dozwolonej prędkości.

Wyprzedzająca ciężarówka.

Drugi pas, który wydawał się pusty.

Ale nie był – z naprzeciwka jechali rodzice Johanna.

Kolejny żelazny krzyż między zakurzonymi słupkami przy drodze, upamiętniający ofiary.

Od tego czasu Johann mieszkał z dziadkiem i ciężko chorą babcią ze strony matki, bo jego ojciec też wcześniej stracił rodziców.

Nie minął nawet rok, gdy w nowym domu Johanna zabrakło kobiecej ręki, a kiedy skończył dziewiętnaście lat, pozostał w nim sam. Jediną osobą, do której mógł się odezwać, był sąsiad – wiejski nauczyciel Alois Daxberger – tak jak on zdany tylko na siebie.

W tym czasie Johann Heidemann, jak wielu ludzi pochodzących z tych stron, pracował już na dzienną zmianę w hucie Siegenshart.

Resztę czasu najchętniej spędzał sam. Unikał gospody Przy Poczcie, podobnie jak wszelkich wiejskich festynów i spotkań; nie lubił dużo gadać. Johann Heidemann mówił tylko wtedy, kiedy musiał, przez co zyskał sobie opinię niedorozwiniętego, co kwitował milczeniem. Bo niby co miał odpowiedzieć mieszkańcom Jettenbrunn? Szkoda trudu, skoro ludziom starcza zwykle obejrzenie karykatury do wyrobienia sobie poglądu na temat kogoś lub czegoś.

Matka Karla, Charlotte z domu Auböck, w przeciwieństwie do męża mówiła – za siebie i za niego. I mówiła tak wytrwale, tak szybko, głośno, gardłowo, ostro, czasem z bólem, jakby uciekał jej zarówno czas, jak i słuchacze. To, że nie traciła tych drugich, wynikało z ludzkiej hipokryzji, nazywanej uprzejmością. Charlotte była bowiem żoną Johanna Heidemanna, a ten, mimo przypisywanej mu ociężałości umysłowej, uchodził za człowieka do wszystkiego, który wiedział, jak się zabrać do pracy przy wyrębie drzew, budowie domu czy wykopaniu dołu na szambo. Przydatny wół roboczy, w dodatku darmowy; zamiast zapłaty wystarczyła złożona z resztek kolacja, butelka wina albo paczka pralinek.

Warto było z nim dobrze żyć, mimo akustycznej plagi, jaką ściągnął na wioskę, wybierając sobie żonę. Plagi, od której nie dało się uciec. W ciągu tygodnia Charlotte stała bowiem przy kralajnicy wędlin w sklepie spożywczym należącym do leciwej

Adele Konrad i niczym gazeta puszczała w obieg najświeższe plotki, dorzucając zawsze chętnie kilka plasterków szynki więcej, niż chciał klient, i do każdych czterech bułek dodając jedną gratis, podczas gdy na jej szyi dyndała pięcioramienna gwiazdka zawieszona na skórzanym rzemyku.

– Dostałam od rodziców. Ma mnie chronić przed złem – dowiedziała się wkrótce cała wioska. – Pięć to moja szczęśliwa liczba.

– I co? Chroni? – pytali ludzie.

– Nas w każdym razie nie chroni – mówili potem w gospodzie, rycząc ze śmiechu. Podłe, bo Charlotte była dobrym człowiekiem i nieźle sobie radziła ze skrzynkami owoców i warzyw, workami mąki i przypraw, beczkami wina i kiszzonej kapusty. Znała się na tym; w podobnym otoczeniu dorastała na północy kraju, jako dziecko właścicieli sklepu żelaznego. Jedyne dziecko. Matka Gertraud, z perłami w uszach; ojciec Heinrich z wypomadowanymi włosami; sklep lśniący czystością, zawsze wypolerowane meble z twardego drewna, jeszcze pachnące miodem i woskiem, niezliczone szuflady różnej wielkości, a w nich niezliczone przedmioty. Rodzice zawsze mieli ręce pełne roboty, ale najważniejsza spośród tysiąca rzeczy była ich córka. Za ladą stał wiklinowy wózek, potem kojec, dziecięce wysokie krzeselko, a w końcu stanęła za nią sama Charlotte. I nigdy nie usłyszała: „Zostaw, nie potrafisz tego!”, „Trzymaj łapy z daleka, bo wszystko popsujesz!”, tylko „Dasz sobie radę”. A że mama i tata Auböckowie nigdy nie mieli wolnych rąk – a już zwłaszcza podniesionych – Charlotte wyrosła na pracowitą i w głębi duszy cudowną istotę.

Tylko co komu przyjdzie z wewnętrznego piękna, skoro ludzie zwracają uwagę tylko na zewnętrzne wady. Od dziecka z powodu swoich organów mowy była skazana na spędzanie życia między gwoździami, pudełkami pełnymi śrubek, żwir-

kiem dla kotów, nawozem do trawników, guzikami i zamkami błyskawicznymi, nie mając jasności co do powodów, dla których jest odrzucana. Wiedziała tylko, że w przeciwieństwie do swoich koleżanek ze szkoły nie dostaje zaproszeń na urodziny, na ostatekowych balach nikt się nie podnosi, żeby poprosić ją do tańca, żaden chłopiec nie wpada do sklepu, żeby ją dokądsz zabrać. Nic.

Im bardziej czuła się odrzucana, tym głośniej, o nic niepytana, mówiła. I nikt nie rozpoznał w jej ostrym tonie wołania o pomoc, głuchego, ale coraz bardziej natarczywego: „Kto mi wreszcie powie, co jest ze mną nie tak?!”

I wtedy... Tak, wtedy właśnie pojawił się Johann Heidemann.

On po lewej stronie drogi, sam i milczący.

Ona po prawej stronie drogi, sama i milcząca.

To były pierwsze wakacje Charlotte bez rodziców. Chciała wyjechać, daleko, uciec od melancholii, znaleźć się w innym miejscu, choćby tylko na dwa tygodnie. Gdzieś, gdzie jest zielono, mniej ludzi, mniej odrzucenia, mniej bólu, taką miała nadzieję. Mały pensjonat u podnóża Góry Kalwaryjskiej, gdzie można dużo spać, wybierać się na długo spacerów, wspinać się przez kolejne stacje drogi krzyżowej aż na sam szczyt, przeżywać mękę Pańską i zapomnieć o własnej, a potem, po drugiej stronie wzgórza, w dół przez zagajnik, pomachać nogami w wodzie... Tak, musi być staw.

Ciepły wiosenny dzień. Las, zapach czosnku niedźwiedziego, wszystko kwitnie, rośnie, a wśród tego dwoje ludzi. Charlotte i Johann. Dwoje obcych, którzy witają się skinieniem głowy, gdy się mijają, a potem, niecałe dwa metry dalej, się zatrzymują. Ona się zatrzymuje. I on.

- Przepraszam, wie pan może, jak dojść do stawu?
- Wiem.
- To dobrze, bo ja nie jestem stąd.



- Tak?
- Przyjechałam tu na wakacje.
- Na wakacje? Tutaj?

I dalej idą razem.

On słucha, ona mówi, przez całą drogę, tam i z powrotem. Charlotte co chwila patrzy w oczy tego obcego człowieka i odkrywa w nich znacznie więcej niż w oczach innych ludzi. Widzi milczące zainteresowanie, niczym niezakłóconą uwagę, ani cienia nudy, ani trochę kpiny, krytyki; i tak przez kolejne dni wakacji, a spotykali się codziennie, nieprzypadkowo, i razem spacerowali po lesie.

Życie Johanna Heidemanna wydostało się z szarego kokonu. Pragnienie bycia z kimś nagle zyskało prawdziwą twarz. Twarz, która cierpliwie pozostawała przy nim aż do miejsca stanowiącego cel ich codziennej wędrówki – do kaplicy Świętej Marii stojącej nad brzegiem stawu.

Stawu, który wiele już widział: ludzi zadowolonych wychodzących z wody, ludzi zrozpaczonych wchodzących do wody, ludzi szukających w niej w lecie ochłody, ludzi, pod którymi w zimie załamywał się lód, ludzi tracących na brzegu niewinność, ludzi proszących w kaplicy o rozgrzeszenie, ludzi, którzy szeptem zwierzali się figurce Marii ze swoich pragnień słowami, na jakie nigdy by się nie zdobyli przed kimkolwiek.

Nie minęło sześć miesięcy, a z ust Johanna Heidemanna, który właśnie w tym miejscu, w obecności wszystkich mieszkańców Jettenbrunn, brał za żonę Charlotte Auböck, padło trochę więcej słów niż zwykle, a „tak” powiedział głośniejszym niż kiedykolwiek w swoim życiu.

# 3

## NARODZINY

Nikt dotąd nie był świadkiem takiej miłości, jakby tych dwoje zostało dla siebie stworzonych. Ludzie widzieli Johanna i Charlotte spacerujących, widzieli ich na łące rozkładających koc, żeby urządzić sobie piknik, widzieli Charlotte, jak stoi na trawie ze sznurkiem w ręce, patrząc prosto przed siebie, uśmiecha się do aparatu, a potem pokazuje w górę na papierowego ptaka szybującego wysoko na niebie; słyszeli jej śmiech, gdy jak dziecko puszczała latawiec. Coś z jej śmiechu przenosiło się na twarze mieszkańców wioski. I nawet jeśli zdarzało się, że zakradała się na nie kpina, to u jej źródeł leżał podziw. Jak tych dwoje to robi? Naprawdę można z kimś żyć w takiej harmonii? Więc dlaczego nie ja?!

Wkrótce miłość znalazła sposób, by pozostawić po sobie trwały ślad, sposób na ucieleśnienie się. W postaci potomstwa. Karla Heidemanna. Jeszcze nie było go słyhać. Jeszcze się nie urodził.

Przyszłą matkę ogarnął błogostan, jej radość była bezgraniczna. Z zachwytem patrzyła na wysiłki małżonka, który postanowił zamienić stary wiejski dom w oazę szczęśliwości – z piwnicą na wino, sauną i salonem.

Przez wiele tygodni z cierpliwością znosiła ciężowe mdłości, a kiedy rosnąca w niej istota się przeciągała, napierała nóżkami

i piąstkami na matczyne ciało, Charlotte czuła uniesienie. I nieopisane szczęście wyrażane nieustannym śpiewaniem, głośno i wyraźnie, całych litanii dziecięcych kołysanek. W nieskończoność wyśpiewywała zwrotki:

*Śpij, dziecię, śpij.  
Jaśniutki księżyc jest już na niebie.  
Na białym koniu jedzie do ciebie,  
Tak cicho, jakby śnił.  
Śpij, dziecię, śpij.*

*Cicho, dziecię, cicho.  
Księżyc na nosie ma okulary  
I widzi wszystko, chociaż jest stary.  
Takie już z niego lichy.  
Cicho, dziecię, cicho.*

A jeszcze nienarodzony Karl odpowiadał Charlotte tak, jak potrafił; matka szalała, więc szalało również dziecko – kiedy ona podnosiła głos, ono boksowało i kopało, tym mocniej i boleśniej, im bardziej zaawansowana była ciąża. Dopiero gdy nadchodził wieczór i Charlotte kładła się do łóżka i zasypiała, wreszcie i w niej zaczynał panować spokój. Jakby ona i dziecko byli jednością z jednym sercem i jedną duszą; tak sobie myślała.

Myliła się. I to bardzo.

Karl rozbił tę jedność ponad miesiąc przed przewidywanym terminem, któregoś dnia, późnym rankiem, rozrywając pęcherz płodowy. Potem poszło szybko, bardzo szybko. Żadnych bólów porodowych, żadnej męki, jakby Karl chciał ograbić z heroizmu nie tylko swoje narodziny, ale i matkę. Upragnione dziecko, oczekiwane z całego serca, ale jego przyjście na świat

było początkiem niemającej końca ucieczki i niszczycielskiej fali. Katastrofalny krok, którego nie sposób było nie usłyszeć. Głośny wrzask docierał niemilosiernie do najdalszych zakątków wsi.

Fizyczny stan noworodka szybko zaczął wzbudzać niepokój. Niedożywiony, słaby, gorączkujący, miotał się w ramionach zrozpaczonej matki. Przy nieustannym:

*Śpij, dziecię, śpij.*

*Cicho, dziecię, cicho.*

Ale nie było ani snu, ani ciszy. Na nic zdały się wszystkie wysiłki. Nic nie pomogła wizyta wiejskiego lekarza, doktora Albrechta Hofstättera ani konsultacja w pobliskim szpitalu. Nikt nie zdiagnozował u noworodka jakiejś konkretnej choroby. Poza zbyt niską wagą wszystko było w normie. To oznaczało, że Charlotte Heidemann – tak to jej wytłumaczono – wydała na świat wrzeszczące dziecko; to się zdarza, i chociaż bardzo im wszystkim przykro, czasami nie ma na to żadnego medycznego wyjaśnienia, zwłaszcza jeśli ciąża i poród przebiegały tak prawidłowo jak w tym wypadku. Poradzono więc rodzicom, żeby zapewnili chłopcu jak najwięcej spokoju i nie żalowali mu mleka z butelki.

Od tej pory Karl pił. I to z prędkością łodzi wyścigowej – łapczywie, nerwowo, niczym uciekinier, który zaraz po tym, jak się posili, musi ruszać dalej. Tylko dokąd miałby uciec niemowlak w wózku, pieluszcze, zdany we wszystkim na innych?

Charlotte, która na początku nie była gotowa wypuścić swojego szalejącego dziecka z rąk i nieustannie żarliwie tuliła je do piersi, dopóki kompletnie wyczerpane nie zasypiało u jej boku, z czasem coraz bardziej słabła.

– Daj mi go chociaż na chwilę, żebyś trochę odpoczęła – mówił zmartwiony Johann.

– Odpocznę, kiedy umrę – odpowiadała, jakby przeczuwała, co się stanie.

Najpierw jednak, gdy Charlotte na nic nie miała już sił, a nastąpiło to dość szybko, przyszedł doktor Hofstätter. Niepohamowany strach i bezsilność wobec własnego dziecka, które sprawiało wrażenie zdanego na jej łaskę, smutek z powodu odrzucenia, ból nabrzmiałych piersi i rosnąca gorączka złamały jej wolę. Hofstätter zapisał jej zastrzyki, zalecił jak najwięcej spokoju, przekazał Karla w silne ręce ojca i kazał mu wyjść z dzieckiem na dwór.

Wtedy Karl się uspokoił.

I pozostał spokojny, kiedy ojciec wkładał mu czapkę, zimowemu ubranka i owiniętego kocikiem wynosił z domu.

Ciemność i cisza. Zrobiło się późno. Karl Heidemann po raz pierwszy w życiu zobaczył rozgwieżdżone niebo, poczuł świeże, mroźne powietrze i działanie nocy. Otworzył szeroko oczy, chrapki nosa się rozszerzyły. Lekko przechylił główkę i węszył, nasłuchiwał, odczuwał – łapczywie i z ciekawością, trochę jak odkrywca w obcym kraju, trochę jak polujący drapieżnik.

Johann przez chwilę stał w świetle księżyca, patrząc na syna i głęboko oddychając. A potem to zobaczył, i było to coś najpiękniejszego, co widziały jego oczy: uśmiech swojego dziecka, krótki, jak migawka, a jednak przysłaniający wszystko. Czarne, błyszczące oczy szukały spojrzenia ojca i wpiły się w nie, gdy je odnalazły.

W tym momencie Karl Heidemann narodził się po raz drugi, po raz drugi oddzielił się od matki, znów została odcięta pępowina, w ten ostateczny sposób, jaki odczuwają matki, gdy w dziecięcych pokojach już tylko fotografie wskazują na minioną obecność uwiecznionych na nich osób.

Wtedy nie miał jeszcze trzech tygodni.

## 4 ROZWIĄZANIE

Nadszedł dzień, którego Charlotte Heidemann bardzo się bała: dzień powrotu męża do huty, końca jego stałej obecności w domu, początku bycia zdaną tylko na siebie. Jej rodzina nie mogła pomóc, bo była za daleko. Rodzice Johanna nie żyli, a z mieszkającymi w okolicy krewnymi nie mieli kontaktu. Przyjaciół, do których można się zwrócić o pomoc, nie było.

Po raz pierwszy słowa „Dasz sobie radę” nabrały innego wymiaru. Pozostawiona sama sobie, tak właśnie się czuła, zdana na siebie i swój – prawdopodobnie – ciężki los.

I spełniły się najgorsze przeczucia. Lęki stały się rzeczywistością. To, czego najbardziej się boimy, nie zdarza się, mówią. Akurat! Tu się zdarzyło. Było gorzej, niż Charlotte się obawiała. Nie pomagało ani bujanie kołyski, ani dziecięce piosenki, ani spacer w wózku. Nie do pomyslenia było, by wsadzić Karla do samochodu i pojechać z nadzieją, że drgania, warkot silnika czy inne odgłosy pojazdu okażą się cudownym środkiem.

Dopiero wieczorem, gdy mąż wracał z pracy, odczuwała ulgę. Ledwie Johann przekroczył próg, spocony po ciężkim fizycznym wysiłku, przejmował drącego się wniebogłosy syna, przyciskał go mocno do piersi i wychodził z domu.

O ile na początku małe, wymęczone wijące się ciałko uspokajało się dopiero po kilku kilometrach marszu, o tyle z czasem działo się to już parę kroków od domu, a w końcu wystarczało, że Karl poczuł intensywny zapach ciała ojca. Mimo to Johann pokonywał zawsze tę samą trasę. Brnąc przez śnieg, tego roku grubo pokrywający ziemię, szedł daleko za wioskę, aż do brzegu stawu, dla śpiącego syna, ale i dla siebie. Korzystał z tego czasu u schyłku dnia, jakby w ten sposób mógł uciec od trosk. A syn znajdował ucieczkę w rytmie mocno bijącego ojcowskiego serca.

W ciągu dnia nie było jednak ucieczki, ani dla Karla, ani dla jego matki, ani dla mieszkańców wioski. Coraz częściej Charlotte sięgała po jedyny ratunek, który uciszał jej dziecko przy najmniej na chwilę: po butelkę z mlekiem.

A skoro Karl, jakby również widział w butelce jedyny ratunek, nigdy jej nie odtrącał, uznano, że jego wrzask jest oznaką głodu i domaganiem się, by go nakarmiono. Im częściej dostawał butelkę, tym częściej żądał kolejnego posiłku, tym bardziej przybierał na wadze, a im więcej ciała, tym większy głód... błędne koło. Koniec końców, Karl Heidemann miał, w dosłownym tego słowa znaczeniu, wiecznie zatkaną gębę, chyba że – najedzony tak, że aż się ulewało – zamroczony zapadał w krótki sen.

Dość szybko było widać po chłopcu to „zatykanie gęby”. Johann widział, ale milczał, bo co miał powiedzieć? Jak mógł pozabawić Charlotte jedynej możliwości ratunku?

W knajpie żartowano na ten temat.

– Wygląda na to, że mały Heidemannów rośnie wszerek, a nie wzdłuż. Jak dzieciak zacznie chodzić, trzeba będzie zamykać spiżarnie.

Było wesoło przy stole, dopóki ktoś przy następnej kolejce nie powiedział:

– A może te wrzaski Karla to kara dla was za to, że latami plotkowaliście na temat Charlotte.

To przypuszczenie zagnieżdżyło się w głowach mieszkańców Jettenbrunn i rozprzestrzeniło się jak zaraźliwy wirus.

A Charlotte zamykała się w swoim cierpieniu, zaszywała się w domu, wierząc, że ludzie winią ją za wrzaski syna. Dziecko się drze, bo ona nie sprawdza się jako kobieta, gorzej, nie nadaje się na matkę. Tylko że każda wiara z punktu widzenia wierzącego w coś innego jest błędna. I Charlotte się myliła. Mieszkańcy wioski omijali szerokim łukiem dom Heidemannów z całkiem innego powodu.

– Ten dzieciak jest chory – powiadali. – Chory na głowę. A może nawet opętał go diabeł.

Po obu stronach występowało więc to, co jest typowe dla każdej wiary, która odrzuca możliwość zakwestionowania jej – urojenia.

Charlotte coraz bardziej unikała mieszkańców wioski, a oni unikali jej jeszcze bardziej. I chociaż wszyscy widzieli, że młoda matka potrzebuje pomocy, chociaż pojawiała się coś takiego jak współczucie czy wstyd z powodu odtrącenia czyjegoś niemowlęcia, niczego to nie zmieniło. Widząc ją z daleka, uciekali z pochylonymi głowami, kombinowali, gdzie skręcić, szukali wzrokiem kogokolwiek, z kim mogliby zacząć rozmawiać. Tylko ze strachu przed zamienieniem kilku słów z Charlotte skończyły się trwające nieraz dziesięciolecia konflikty, na czym wiejska społeczność w pewnym sensie zyskała.

W głowach ludzi zaległy się dziwne myśli; nawet tym, którzy je snuli, wydawały się obce i niedopuszczalne. Ale czy jest siła większa, bardziej zaraźliwa, budująca albo niszcząca niż ta w ludzkich głowach? Zrzucano więc na Karla wszystkie winy, pozbawiano go wszelkich praw należnych niemowlakowi, jak prawo do tego, by nie wiedział, co robi, przypisywano mu nie-



poczytalność i, tak, złośliwość czy nawet podłość. W jego głosie i spojrzeniu było coś niepokojącego, coś przerażającego. Nic, tylko ta dyndająca na szyi Charlotte pięcioramienna gwiazdka, która miała chronić przed złem, ściągnęła na nią zło.

Co zrobi to dziecko, które w chwili przyjścia na świat postanowiło wrzeszczeć światu w twarz, kiedy będzie już mogło coś zrobić?

Na razie musiała coś zrobić Charlotte Heidemann. Wlokące się godziny bez męża, nieznośne natężenie hałasu, odtrącenie, które czuła wszędzie, ciało napięte i obolałe po nieustannym noszeniu i oporządzaniu syna... Jeszcze trochę, i nie da rady zmieniać pieluszek, podnieść swojego coraz grubszego, podobnego do larwy dziecka, w ogóle go dotykać. Protesty Karla się nasilały, ale z czasem ona też zaczęła protestować; bastion matczynej miłości padł i zaczęły się pojawiać pierwsze iskry płynącej prosto z serca odrazy.

Odrady do tej wiecznie wykrzywionej, napuchniętej mordy. Była u kresu sił. Mogła już marzyć tylko o jednym – o ucieczce. Zostawić to wszystko i uciec.

Któregoś popołudnia spełniła swoje pragnienie, ale inaczej, niż myślała. Zdenerwowana do granic wytrzymałości wierzeniem dziecka przy przewijaniu zabrała go do łazienki, żeby zmyć mu z pleców kupę.

Przed nią dziecko dziko wymachujące piąstkami, w niej – gniew i rozpacz.

Przed nią woda, której poziom stopniowo się podnosił; w niej pragnienie wyzwolenia, myśl, czyn.

Zerka w dół, zatyka odpływ, patrzy na miotającą się kupkę pogardy w jej ramionach, nachyla się i pozwala, żeby wymsknęła jej się z rąk.